

Niepokoje teatralne

AUGUST GRODZICKI

16.VII.66

GDYBY przejrzyć repertuary teatrów warszawskich w ubiegłym sezonie, można by dojść do wniosku, że wszystkiego było w nich pod dostatkiem, a niejedno miało wysoką jakość artystyczną. Miłośnicy teatru każdego niemal dnia na różnych scenach mogli wyszukać coś dla swych różnorodnych upodobań, frekwencja wzrosła, a sam teatr żywił się zapasem sztuk dawnych i nowych o tak koniecznej dla jego rozwoju różnorodności rodzajów, gatunków i walorów. Przecież w tym sezonie grano w Warszawie — i niemal w całej Polsce — „Tango” Mrożka, sztukę o wartościach miary, jaka nieczęsto trafia się we współczesnej polskiej literaturze dramatycznej. A z nowych sztuk obcych szły tak różne i z różnych względów interesujące utwory Albee’go, Hochhutha, Ionesco. Szczególnie obficie reprezentowana była klasyka polska i doprawdy niezrozumiałe są lamente, że się jej za mało wystawia: dwa staropolskie przedstawienia Dejmka, Bogusławski w Operetce, Fredro w kilku teatrach, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, Żeromski, aż do Witkacego. Z klasyki obcej bądź co bądź Szekspir w trzech teatrach i Molier. Coś niecoś też z repertuaru całkiem lekkiego, czysto rozrywkowego. Było więc na co chodzić i w czym wybierać.

Tak, ale sprawa wygląda inaczej, kiedy sprawdzimy, jakie premiery dały w ubiegłym sezonie sceny warszawskie. Wtedy okaże się, że ten cały, lub prawie cały, pomyślny ilościowo i jakościowo obraz mamy do zawdzięczenia przedstawieniom pozostałym z poprzednich sezonów. Oczywiście, można powiedzieć, że teatry mają prawo do całkowitego wygrania swych przebojów, jeżeli ciągle znajdują one publiczność — zwłaszcza przy zmiennym repertuarze, który stał się już powszechnie obowiązującą zasadą. I że ostatecznie, nie wchodząc w daty poszczególnych wystawień, aktualny repertuar przedstawiał się bogato, widz miał szeroki i wartościowy materiał do dyspozycji. Trochę racji jest w takim twierdzeniu, ale tylko trochę. Bo i repertuar zmienny nie znaczy: nie odświeżany. I publiczność domaga się — i ma do tego prawo — nowych rzeczy. I teatr, jeżeli ma się rozwijać i spełniać swoje zadania, nie może utknąć w powtarzaniu dawnych sukcesów.

I właśnie, kiedy zapytamy, co było nowego, sezon ten okaże się bardzo jałowy. Takiej jałowości nie było chyba od wielu lat. Dopiero w ostatnich miesiącach powstało kilka przedstawień wybitnych, które w pewnej mierze uratowały honor, ale nie zdołały naprawić całości. Nie uwzględniam tu premier lipcowych, bo to pozycje pracujące już na przyszły sezon. Dość powiedzieć, że w tym okresie nie ukazała się w Warszawie ani jedna, choćby trochę znacząca nowa sztuka polska, a w ogóle było ich wszystkiego razem... trzy. W innych tradycyjnie już wymienianych grupach repertuarowych też nie było lepiej, zwłaszcza jeżeli idzie o jakość przedstawień.

solutnie nic. W „Ateneum” — ani jednego przedstawienia, które by się jeszcze teraz pamiętało — może dwie jednoaktówki Ionesco (w reżyserii Laskowskiej) na Małej Scenie, choć rewelacją mogłyby być one dziesięć lat temu. W Teatrze Powszechnym, w którym Hanuszkiewicz na ogół dzielnie sobie poczyną, też dość ubogo, ale bądź co bądź były tu dwa wartościowe, choć dyskusyjne przedstawienia: „Don Juan” Moliera i „Koriolan” z dwiema wybitnymi kreacjami aktorskimi (Hanuszkiewicz, Dmochowski). Teatr Ludowy z różnym powodzeniem żegnał się z Pragą, którą opuszcza przenosząc się do dawnej Operetki na Puławską. W „Komedii” zmiana w dyrekcji nie dała jeszcze znać o sobie na scenie. W „Syrenie” — jak w „Syrenie”!

Na takim tle Teatr Polski, który w ostatnich latach należał do najciemniejszych plam warszawskiego pejzażu teatralnego, tym razem się wyróżnił. Coś się w nim zaczęło zmieniać na lepsze. Jeszcze daleko do zdobycia tej rangi, jaką miał kiedyś i jaką dziś mieć powinien. Zespół ma tyle braków i tak jest niezharmonizowany, że bardzo trudno tu o przedstawienie na jednolitym, przyzwoitym poziomie. A jednak wysiłki Teatru Polskiego zmierzające do podniesienia tego poziomu zarówno w repertuarze jak i inscenizacji nieraz zasługiwały na uznanie. Porażka „Balladyny” nie przysłoniła „Irydiona”, który wprowadził też nie był zwycięstwem ale niewątpliwie liczył się jakoś w naszym życiu teatralnym. „Trojanki” Eurypidesa - Sartre’a, kilka udanych przedstawień na scenie kameralnej też można umieścić po stronie pozytywów w bilansie tego teatru.

I to już wszystko. Dla dopełnienia obrazu dzieł teatrów warszawskich w sezonie 1965/66 można jeszcze zanotować pewien fakt należący raczej do kroniki anegdotycznej. Oto jeden z dyrektorów obrazony na recenzentów, którzy jakoby niszczyli świetne — według jego mniemania — przedstawienia tego teatru, przestał im posyłać zaproszenia na premiery. Uwolniony od oceny niegrzecznej krytyki dyrektor ten mógł swobodnie święcić triumfy. I nawet dopiął swego. Skoro nie mógł inaczej, w ten sposób przeszedł do historii teatru — bodaj anegdotycznej.

Ale ten zabawny incydent nie rozproszy smutku snującego się z obserwacji ubiegłego sezonu teatralnego w Warszawie. Nie wszystkie sezony mogą przynosić rewelacje, niektóre bywają także przeciętne. Sezon 1964/65 można było uznać za bardzo dobry, ubiegły był poniżej przeciętności. Pokazały się zjawiska niepokojące. Zachwyceni pojedynczymi zrywami i rzeczywistymi lub wydumanymi sukcesami za granicą czy wzrostem frekwencji widzów skłonniśmy nie dostrzegać tych zjawisk. Przyczyny tych — oby przejściowych! — niedomagań zapewne tkwią głębiej w organizacji naszego życia teatralnego. Obowiązkiem krytyki jest zasygnalizować objawy, dać wyraz niepokojowi. Nie będzie można powiedzieć, że krytyka tego swego obowiązku nie wypełniła.

Ten niewesoły stan można sprawdzić na bilansie poszczególnych teatrów. Teatr Współczesny — ten, który wyrobił sobie sławę najdoskonalszej sceny w Warszawie — żył tylko z dorobku sezonu poprzedniego. Jeden, interesujący zresztą Ostrowski nie mógł zaspokoić oczekiwań, które zwykło się łączyć z teatrem Axera. Nie zaspokoił ich też bardzo potrzebny skądinąd repertuar rozrywkowy na ulicy Czackiego. Teatr Narodowy, na który również zwrócona jest pilna uwaga publiczności warszawskiej — i nie tylko warszawskiej — długo kazał czekać na udane przedstawienia. Nie udał się „Kordian” — jakby zaciążyły tu uroczystości jubileuszowe, które nigdy nie przynoszą niczego dobrego w teatrze. Na niepowodzenie to jednak teatr zareagował bardzo nerwowo, co odbiło się dotkliwie na jego życiu wewnętrznym. Pozbierał się z tego dopiero pod koniec sezonu i wysunął się na czoło Witkacym i znakomitym przedstawieniem „Namiestnika”, chyba najświetniejszym w całym ubiegłym sezonie w Warszawie. Ta sztuka, bardzo daleka od doskonałości, w inscenizacji Dejmka i mistrzowskim wykonaniu aktorów z Holoubkiem na czele przemówiła ze sceny przejmująco. Przedstawienie to pokazało, jak żywy i doniosły w swym działaniu może być teatr, jeżeli sięga po problemy swoich czasów.

A inne teatry? W tak interesującym zwykle Teatrze Dramatycznym — nic nowego, ab-